

Książkę dedykuję mojemu rodzinnemu miastu
Lubaniowi i jego mieszkańcom.



Meandry MIŁOŚCI

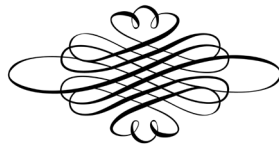


KASIA BULICZ-KASPRZAK



WYDAWNICTWO CZARNO NA BIAŁYM
WWW.WYDAWNICTWOCNB.PL
2013

*Ty zakwitniesz różą
A ja kaliną*



Rozdział I



Panna Helena Tarczyńska szła lipową aleją i gotowała się z nerwów.

— I o to tyle hałasu?! — Ze złością kopnęła kamyk leżący na dróżce prowadzącej do dworu. — O to?!

Od tygodni od Nadbroża do Kuźnicy, może nawet dalej, mówiono tylko o przygotowaniach do balu, który miał się odbyć w majątku jaśnie państwa Tarczyńskich. Była to dość nietypowa pora, bo zazwyczaj zabawy taneczne urządzano w karnawale, ale pani Ludwika Tarczyńska ze starszą córką Hanią od zimy wczasowała się w Szwajcarii — Helena nie wyjechała w Alpy, a pod nieobecność matki nie mogła brać udziału w życiu towarzyskim, więc czuła się pokrzywdzona — dlatego, ulegając prośbom młodszej córki, matka wyznaczyła datę przyjęcia na pierwszą niedzielę po Bożym Ciele roku pańskiego tysiąc osiemset osiemdziesiątego ósmego.

Zaraz, gdy tylko z twoją starszą siostrą wrócę ze Szwajcarii, wszystkim się zajmę — obiecywała w liście do Heleny.

W korespondencji ustalały szczegóły przyjęcia i dzieliły się spostrzeżeniami. Miał być wystawny poczęstunek podany na rodowej porcelanie, kawa i ciasta najlepiej w ogrodzie albo

oranżerii, tańce rozpoczęte — jak nakazywał zwyczaj — polonezem, a na koniec skromna pożegnalna kolacja. Ale najważniejsi byli goście! Helena roiła sobie tłum młodzieńców, jeden ładniejszy od drugiego, którzy zwracaliby uwagę tylko na nią. Tylko ją prosiliby do tańca i tylko o jej względy zabiegali. Może nawet pojedynkowałiby się o nią? Marzenia te powstały w głowie panienki za sprawą lektury romansów dyskretnie podsuwanych przez miss Florę, mieszkającą od lat u Tarczyńskich angielską guwernantkę. Gdyby ojciec Heleny dowiedział się o tym, dawno nauczycielkę by wygnał. I jeszcze kazał psami poszczuć.

Na bal przybyła szlachta całymi rodzinami nawet z odległych majątków. Cóż z tego, skoro przystojnych młodzieńców w tym gronie nie było: sami starcy, sami paskudni kawalerowie albo dzieciaki niewarte nawet spojżenia.

I co? To dla nich ta cudna suknia sprowadzona aż z samego Paryża? — Helenie zakręciły się łzy wściekłości i rozczarowania. — Nigdy nie poznam odpowiedniego kawalera. Będę musiała wyjść za mąż za Jurka Podolskiego albo, co gorsza, za pana Kuźmiana, tylko dlatego że jest bardzo bogaty.

Pochłonięta rozmyślaniami nagle zdała sobie sprawę, że ktoś za nią idzie. Żwir chrząścił. Odwróciła się i zobaczyła Kusą, ukochanego setera. Uśmiechnęła się i gwizdnęła. Pies podbiegł, radośnie merdając ogonem.

— Dobry piesek. Znalazłaś mnie, moja kochana... Kusa, tobie też nie podoba się na balu?

Helena zeszała z alei w cień drzew ku prostej ławce z deski i dwóch pniaków. Kazał ją tu postawić stary stryj ojca dziewczyny, Gerwazy Tarczyński, pułkownik w stanie spoczynku, cudem niezesłany na Sybir, bohater ostatniego powstania, ; kiedy dowiedziała się o tym pani Ludwika, była zła, bo — jej zdaniem — nieestetyczna ławka szpeciała reprezentacyjną aleję. Jaśnie pani wprawdzie proponowała zastąpić ją żelazną, kunsztownie kutą w liściowy motyw, ale stryj się nie zgodził, a miał wiele do powiedzenia w domu bratanika. Co gorsza, jeśli ktokolwiek mu się sprzeciwił, wpadał w

gniew i skarżył się panu Henrykowi Tarczyńskiemu. Wtedy wybuchała okropna awantura, ponieważ ojciec panny Heleny szanował stryja nie tylko w związku z bliskim pokrewieństwem, lecz także ze względu na zasługi dla ojczyzny. Zresztą zasług nikt stryjowi nie odmawiał. W dzieciństwie dzieci państwa Tarczyńskich — najstarszy Henryk, Hanna oraz najmłodsza Helena — grzejąc się przy kominku w bibliotece ojca, słuchały wojennych opowieści stryja, które snuł z dużym zaangażowaniem. Z czasem dzieci znały je równie dobrze, co narrator. Może nawet lepiej, bo odkąd umysł stryja Gerwazego zaczął się mącić, pułkownik najpierw mylił imiona domowników, potem fakty. Bywało, że nie wiedział, gdzie jest. Coraz trudniej było mu rozmawiać, uciekał więc przed ludźmi. Lubił samotne spacerować i żeby nie zabłądzić, chodził w tę i z powrotem lipową aleją — od dworu do bramy, od bramy do dworu — przy czym męczył się szybko. Dlatego kazał parobkom właśnie tam, pod lipami, postawić ławkę, na której odpoczywał nawet do późnego wieczora, kreśląc łaską na ziemi zrozumiałe tylko dla siebie znaki. Jedynie oddany służący Michałko pamiętał, aby pułkownika w porę zabrać do domu, inaczej nieraz przyszłoby stryjowi nocować na ławce.

Helena przysiadła właśnie na tej stryjkowej ławeczce. Pies położył łeb na kolanach ukochanej pani. Dziewczyzna głaskała jedwabistą sierść i żaliła się pupilowi:

— Widzisz, Kusa, jaki los mnie czeka? Pan Kuźmian! Brzydki jak noc i na dodatek wdowiec. Albo Jurek Podolski, co ma bliźny po ospie i swoją gorzelnią śmierdzi. I cóż z tego, że bogaty? Nic mnie to nie obchodzi. Jedyna nadzieja w tym, że Hania, z racji tego, że ode mnie starsza, pierwsza pójdzie za Podolskiego, a ja będę mogła wyjść za mąż z miłości. — Westchnęła głośno na myśl o tym cudownym uczuciu, które czyni świat różowym i błękitnym, uczuciu, które sprawia, że człowiek jakby leciał nad ziemią, uczuciu najsrozszą zimę zamieniającym w piękną wiosnę. — Och, żeby już się zakochać, żeby oszaleć z miłości — szeptała do ucha psa, który podnosił na nią smutne, brązowe oczy. Z tego, co pani mówi-

ła, niewiele rozumiał, ale z tonu wnioskował, że użala się nad czymś, pewnie nad nim. Z doświadczenia wiedział, że gdy pani go gładzi i takim głosem przemawia, zaraz sięga do kieszeni i częstuje smakołykiem. Ku rozczarowaniu Kusej nic takiego nie nastąpiło.

Nagle nos psa się zmarszczył. Poczul obcy zapach? Suka czujnie poruszyła uszami i z ujadaniem pobiegła w stronę bramy. Helena ciekawa, co zaniepokoiło psa, powiodła wzrokiem w tamtą stronę.

Aleją szedł młody mężczyzna, wysoki i barczysty. W promieniach czerwcowego słońca jego włosy koloru dojrzałej pszenicy świeciły złotymi refleksami. Twarz miał ładną, gładką, o nad wyraz harmonijnych rysach. Nad ustami o ślicznym karminowym kolorze, cienką linią rysowały się wypięlgnowane wąsy. Spojrzenie ciemnoniebieskich oczu było przenikliwe i inteligentne, i kiedy padło na Helenę, ta poczuła lekki dreszcz. Porządny acz prosty szary surdut z koszulą o kilka tonów jaśniejszą ładnie podkreślał figurę mężczyzny. Monochromatyczność stroju przełamывał starannie zawiązany fular, którego błękit uwydatniał kolor oczu. I tylko straszliwie ubłocone buty psuły efekt.

Helena ciekawie przyglądała się nieznanemu. Spóźniony gość — pomyślała. Ale zaraz zdała sobie sprawę, że to niemożliwe, bo żaden z gości nie przybyłby na bal piechotę. Nawet miejscowy pisarz gminny, Anatol Tytkowski, szlachcic pozbawiony majątku po ostatnim powstaniu, którego zaproszono bardziej ze względu na rodzinę, z jakiej pochodził, niż pozycję społeczną, przyjechał wysłużoną kałamaszką. Poza tym niezajomy trzymał w ręku skórzaną torbę. Może zabłąkany podróżny? Torba była jednak za mała jak na podróżny bagaż, a i strój zupełnie nie podróżny.

Wreszcie mężczyzna, zrównawszy się z Heleną, szarmancko się skłonił; panna Tarczyńska nieznacznie wysunęła ku niemu dłoń w błękitnej ażurowej rękawiczce, aby ją ucałował.

— Witam panią. — Głos miał spokojny, łagodny, jednocześnie stanowczy. — Jestem Jan Leonowicz. Doktor tużejczy od niedawna. Wracalem od pacjenta, nieopatrznie

zjechałem z grobli i bryczka utknęła w błocie, że ruszyć nie można. Do dworu idę, pomocy szukać.

Twarz Heleny rozjaśnił uśmiech zrozumienia.

— Ach, więc pan jest naszym nowym doktorem — zaświergotała. — Ależ zaprowadzę pana do domu. Tatko zaraz służbę pośle do pańskiej bryczki. Dobrze, że pan do nas przyszedł, bo jakby pan skierował się w przeciwną stronę, do majątku Sustrowiczki, toby tam nikogo nie zastał. Państwo Rudeccy u nas na balu bawią. — Ledwie usłyszała własne słowa, zdała sobie sprawę, że być może powiedziała coś niemiłego. Dlatego zamilkła. Jan Leonowicz patrzył na nią niewzruszony, podjęła więc świergot: — Pan nie był proszony, ale musi wybaczyć, bo to nie z lekceważenia, skoro tancerzy w okolicy brakuje i zaproszono nawet aptekarza i pisarza gminnego. Listę gości mama ustalała jeszcze w czasie pobytu w Szwajcarii. Jakby szanownego pana poznała wcześniej, byłby pan już pewnie naszym bliskim znajomym. Ale obie z Hanią zaledwie wróciły... Mama o nowym doktorze nic nie wiedziała... A tatuś i Henio są nietowarzyskimi gburami. Oni by tylko w stajni siedzieli, nawet nie przyszło im do głowy, żeby nowo przybyłą do miasta osobę choć na herbatę zaprosić.

Cóż za gadatliwa pannica! — pomyślał Jan.

Helena Tarczyńska nie zrobiła na nim miłego wrażenia, chociaż wyglądała interesująco. Dobrze prezentowała się w balowej jasnobeżowej sukni, świetnie dobranej do kasztanowych włosów i zielonych oczu. Doktor nie miał jednak nastroju podziwiać szczebiocącej panny. Do jaśnie państwa czuł żal, że do tej pory nie zaprosili ani na zapoznawczą herbatę, ani na przyjęcie. Ale to, co powiedziała dziewczyna, wprawiło go w lepszy nastrój.

— Zapraszam — Helena gestem pokazała dwór.

Im bliżej byli, tym większe osłupienie ogarniało Jana Leonowicza. Nie spodziewał się tego, co zobaczył. Od strony lipowej alei rezydencja Tarczyńskich wyglądała imponująco. Istny pałac!

W klasycystycznym stylu, modernizowany przez kolej-

ne pokolenia, od wieków służył jednej z bogatszych ziemiańskich rodzin w powiecie, może nawet w całej guberni, i niczym nie ustępował majestatycznym rezydencjom, które Jan Leonowicz widział w Wilnie czy w Petersburgu. Piętro środkowej części ozdabiał rząd wysokich oszklonych drzwi wychodzących na wielki, podparty sześcioma kolumnami balkon, stanowiący jednocześnie zadaszenie wybrukowanego podjazdu prowadzącego wprost pod drzwi pałacu. To tam Helena kierowała gościa. Od centralnej części budowli odchodziły piętrowe wschodnie i zachodnie skrzydła ze spadzistym dachem i mansardowymi oknami, gdzie w małych pokojach mieszkała służba. Do obu skrzydeł prostopadle przylegały parterowe oficyny ograniczające ozdobiony różanym klombem dziedziniec, ten zaś płynnie przechodził w aleję obsadzoną lipami.

Helena nie zaprosiła doktora na pokoje. Od razu poszli do parku, gdzie — wzorując się na angielskich przyjęciach ogrodowych — ustawiono namioty, stoły i fotele. Na jednym z nich, pogrążony w rozmowie z niemłodą już damą, siedział mężczyzna wielki jak dąb, z płową czupryną i sumiastymi wąsami. Do niego zwróciła się panna Tarczyńska: — Tatku, pan Leonowicz potrzebuje pomocy.

Mężczyzna przeprosił damę i energicznie wstał. Teraz dopiero robił wrażenie. Nawet Jan, który przecież niski nie był, musiał podnieść wzrok, żeby spojrzeć mężczyźnie w oczy.

— Henryk August Tarczyński — przedstawił się szlachcic. Miał mocny, stanowczy głos człowieka przywykłego do wydawania rozkazów. — W czym mogę panu pomóc?

Zanim Jan zdążył cokolwiek powiedzieć, odezwała się panienska: — To jest, tatku, nasz nowy doktor, pan Jan Leonowicz, któremu winniśmy przeprosiny, bo nie został zaproszony na przyjęcie. Jego bryczka utknęła w błocie i dlatego szuka u nas pomocy... — Pod karcącym spojrzeniem ojca dziewczyna zamilkła.

— Powiedz zatem matce, Heleno, że nowy gość przybył. Ja tymczasem sam sprawę z panem Leonowiczem omówię.

Helena zrozumiała niewypowiedzianą reprimendę, dygnęła i zaszeleściwszy paryską suknią, odeszła.

Chyba nigdy się nie nauczę trzymać buzi na kłódkę — pomyślała. — Ojciec zły, wieczorem na rozmowę wezwie. Nic to, jego ubłagam, byle matce nie powiedział, że znowu źle się zachowałam.

Utrapienie z tą dziewczyną. Za grosz stateczności — pomyślał Henryk August Tarczyński, bez gniewu jednak, ponieważ Helenka była jego ulubienicą.

Cóż za pusta pannica — pomyślał Jan. — Prawdą jest, że uroda i rozsądek nie chodzą w parze.

Po krótkiej rozmowie z doktorem pan Tarczyński wysłał parobków, aby bryczkę wyciągnęli z błota i sprowadzili do dworu. Sam zaś zaprowadził gościa do altany, gdzie w towarzystwie innych dam brylowała jego żona.

Uprzedzona, kogo mąż przyprowadzi, pani Ludwika Tarczyńska przyjęła doktora serdecznie. Uprzejmie przeprosiła za owo nieszczęsne niedopatrzenie, przez które nazwisko doktora nie znalazło się na liście gości. Zrobiła to w ujmujący sposób i z wielkim taktem, więc Leonowicz nie tylko jej przebaczył, ale poczuł się winny, że w jego głowie powstała jakakolwiek negatywna myśl o tej wytwornej i szlachetnej kobiecie.

Gdy Jan przybył do miasteczka, spodziewał się zaproszenia do dworu chociażby ze względu na stary, niepisany zwyczaj. Z plotek wiedział, że starsza córka Tarczyńskich jest chorowita i — prawdę powiedziawszy — liczył, że zostanie jego pacjentką. Minął jednak tydzień, drugi, trzeci, z pałacu nikt się nie zjawił z zaproszeniem, a Leonowicz pod nosem wymyślał Tarczyńskim od najgorszych. Czara goryczy przełała się, gdy aptekarz, Alojzy Rudnicki, wyraził ubolewanie, ponieważ doktora nie zaproszono w pierwszą niedzielę czerwca na przyjęcie z tańcami.

Wypadek z bryczką początkowo wprowadził Jana w fatalny nastrój. Teraz cieszył się z takiego obrotu sprawy. Będzie mógł powiedzieć aptekarzowi, że zaproszono go w ostatniej chwili, spóźnił się, bo do pacjenta musiał zajrzeć, chory jest bowiem dla lekarza najważniejszy. Jechał zbyt szybko, sądząc, że spóźnienie zmniejszy, a przy zbyt szybkiej jeździe o wypa-

dek nietrudno. Jan zdążył już zauważyć, że Rudnicki cieszy się poważaniem w małej, nadbrzużańskiej społeczności, dlatego starał się zdobyć jego szacunek.

— Proszę, niech pan do nas dołączy — Ludwika Tarczyńska dystyngowanym ruchem wskazała miejsce obok siebie, naprzeciwko starszej córki, Hanny.

Jeśli Jan w drodze do dworu uznał Helenę za ładną, to gdy zobaczył ją w towarzystwie matki i siostry, musiał zmienić zdanie.

Zaledwie cień, echo ich urody — pomyślał.

Pani Ludwika Tarczyńska, de domo hrabianka Bertl, była kobietą piękną. Trzy cięższe nie popsuły figury, której pozazdrościć mogły dużo młodsze damy. Wąską talię podkreślała odpowiednio dobrana kreacja z odkrytymi ramionami. Figlarnie wysunięta z fałd jasnołilowej sukni stópka obuta w atlasowy pantofelek wprost zachęcała, żeby podążać wzrokiem wyżej. Dziwił się Leonowicz, że z tak apetyczną żoną Tarczyński miał ledwo trójkę dzieci. Zganił się sam za te swawolne myśli, zarumienił się, rzucił na gospodynię szybkie i dyskretne spojrzenie, czy aby z jego twarzy nie wyczytała, co on teraz roi sobie w głowie. Chyba nic takiego nie wyczytała. Pani Ludwika słodkim głosem opowiadała doktorowi o urokach Szwajcarii, a on spokojnie kontemlował jej urodę.

Uroczą twarz pani Tarczyńskiej okalały jedwabiste włosy w kolorze świeżych kasztanów. Upięte w kok dodawały majestatu. Najwyżej cztery pasma, które nie poddały się dyscyplinie fryzury i wymknęły się spod kontroli, zabawnie tańczyły przy policzkach. Jan poznał, że ich mocny skręt jest dziełem natury, nie zaś fryzjera. Rysy twarzy miała pani Ludwika regularne, delikatne, prawie dziewczęce. Gdyby nie kilka drobnych zmarszczek wokół wielkich, zielonych oczu, otoczonych długimi, czarnymi rzęsami, można by przypuszczać, że nie jest matką, lecz starszą siostrą siedzących obok panien. Łagodnie wzniesiona linia brwi nadawała buzi wyraz mądrego zdziwienia. Na delikatne jak płatek róży usta i na piersi odrobinę, jakby wstydliwie ze stanika wyglądające Leonowicz patrzeć w

ogóle nie chciał. Bał się bowiem myśli, które mu do głowy przyjść mogą.

Jestem taki samotny — westchnął w duchu — a to nad wyraz piękna kobieta.

— Jesienią może wybiorę się z Hanią do Italii. Dla niej tamtejszy klimat jest niezastąpiony. — Pani Ludwika spojrziała z troską na starszą z córek. W ślad za jej spojrzeniem powędrował wzrok Leonowicza.

Starsza córka państwa Tarczyńskich, Hanna, była bardzo podobna do matki. Tylko kolory odziedziczyła po ojcu. Jasne włosy jak aureola otaczały buzię, szare oczy patrzyły na świat z dziwnym smutkiem. W tej dziewczynie wyczuwało się coś, co kazało otoczyć ją opieką. Pomóc, wziąć na ręce i przenieść nad tym światem złym i okrutnym. Doktor od razu poznał w niej pacjentkę.

Siedząca po prawej stronie matki Helena ewidentnie się nudziła. Szarpała falbankę sukni, zdejmowała i zakładała rękawiczkę, czubkiem pantofelka stukwała w ziemię. Coraz zerkiała na matkę wyczekującym spojrzeniem, ale ta, zajęta rozmową z doktorem, nie zwracała na córkę uwagi.

Leonowicz, mimo że zachwycony urodą dwóch starszych pań Tarczyńskich, wreszcie spojrział na Helenę z sympatią.

Toż to dziecko jeszcze — pomyślał, porównując trzy właśnie poznane kobiety.

Helena wyglądała tak, jakby zebrała cechy ojca i matki, a wybór ten nie do końca był słuszny. Barwę i jedwabistość włosów odziedziczyła po matce. Po niej miała również kolor oczu, lecz nie kształt. Linię brwi zawdzięczała ojcu: proste i szerokie, w zestawieniu z ostro zarysowanym podbródkiem nadawały twarzy stanowczość.

A może głupi upór... — próbował domyślić się Jan.

Usta ładnie skrojone, o smakowitym malinowym kolorze, wciąż się uśmiechały, przy czym trochę za duży i, co Jan dopiero teraz zauważył, piegowaty nos filuternie się marszczył. Drobną, jednocześnie szczupłą wysportowaną sylwetką pozbawioną była kobiecych krągłości. Pod każdym względem przegrywała z matką i siostrą: nie tylko nie dorównywała im

urodą, lecz także — w przeciwieństwie do nich — nie miała w sobie zbyt wiele z damy. Wydawała się bezmyślna i gadatliwa.

Teraz też przerwała matce w pół słowa i powiedziała z wyrzutem: — Mama doktora męczy opowieściami o Szwajcarii, a tu czas zacząć tańce. Muzycy stroją już instrumenty.

— Masz rację, kochanie — lodowatym tonem zareagowała pani Ludwika. — Doktor zrobi tę uprzejmość i zatańczy ze mną?

Leonowicz zerwał się, zaszurał ubłoconymi pantoflami i podał Tarczyńskiej rękę. Ta, delikatnie na niej się wspierając, stanęła tak blisko, że od słodkiego zapachu perfum Janowi zawirowało w głowie.

Helena smutno westchnęła. Miała nadzieję, że na jednym tańcu się skończy i potem matka pójdzie zabawiać gości, a ładny doktor ją poprosi przynajmniej do lansjera.

Hania przecież nie tańczy, a poza nią ładniejszej ode mnie panny nie ma — pocieszyła samą siebie. Może jeszcze nie do końca ten bal jest popsuty. Może jeszcze coś romantycznego się zdarzy. Może jeszcze los ułoży się tak, jak w książkach miss Flory, a nie jak w zwykłym życiu, gdzie posażnej pannie ojciec znajduje bogatego kawalera, któremu trzeba rodzić dzieci, najlepiej płci męskiej, i o żadnych uczuciach nie ma mowy.

Przyglądała się parom wirującym na, specjalnie w tym celu ułożonym w pobliżu oranżerii, drewnianym parkiecie. Najładniej wyglądała mama z doktorem. Jurek Podolski tańczył z panną Malwiną Rudecką; poprosił ją chyba tylko przez grzeczność, bo wiadomo, że się nie lubią. Obok w objęciach Henia Tarczyńskiego wirowała Jadwiga Podolska, bardzo zaczerwieniona, ale raczej nie z wysiłku. Helena wnikliwie im się przyglądała; brat szeptał Jadwidze do ucha, ona oczy spuściła...

Co też Henio mógł jej powiedzieć? — zastanawiała się Helena. — Chyba nic niemiłego. Trzeba będzie ją zapytać.

Jeszcze niedawno relacje tych dwojga oparte były na wzajemnym dokuczaniu. Ostatnio coś między nimi się zmieniło. Ignorowali się dość ostentacyjnie, a kiedy pozostawali

we dwoje, milczeli, od czasu do czasu wrogo na siebie łypiąc. Ale teraz widać wyraźną zmianę.

Zaraz się skończy taniec i doktor mnie poprosi — Helena uśmiechnęła się w duchu.

Doktor zatańczył jednak z matką nie raz, lecz trzy razy. Polonez, mazur, na koniec polka, po której na policzki pani Tarczyńskiej wypłynął rumieniec, czyniąc ją jeszcze piękniejszą. Orkiestra przerwała grę, a pani Ludwika, z wyraźną niechęcią, dygnięciem pożegnała doktora, zapewne przypomniawszy sobie o ciężących na niej obowiązkach pani domu.

Właśnie teraz... — Helena zrobiła krok w stronę Leonowicza. Ten skłonił się szarmancko. — Bałam się, że mnie nigdy nie poprosi — pomyślała, gdy pod ramię z Janem szła do podestu dla tańczących, głośno zaś powiedziała:

— Ach, jak ja lubię tańczyć. Tylko nie bardzo jest z kim. Bo tu zawsze to samo towarzystwo. No, gdyby nie pan, byłoby jak na wielkanocnej święconce. Pan pewnie nie wie, kto jest kto, ale zaraz panu opowiem... — I nie czekając na potwierdzenie, zaczęła opowiadać.

Wprawdzie Leonowicz co nieco wiedział o miejscowej szlachcie od aptekarza, ale teraz miał okazję dopasować plotki do konkretnych twarzy.

O palmę pierwszeństwa w powiecie od wieków rywalizowały dwie herbowe rodziny: Tarczyńskich i Podolskich. Ci pierwsi, skoligaceni z najznamienitszymi rodami Rzeczypospolitej, wywodzili się ze starej szlachty mazowieckiej, która z nadania króla Zygmunta Augusta otrzymała rozległe ziemie na Wileńszczyźnie i tam osiadła. Przodek pana Tarczyńskiego wśród dzikich lasów postawił dwór i otoczył go parkiem. Do niedawna Tarczyńskim bardzo dobrze się powodziło, ale kilka ostatnich lat było chudszych. Wiedział o tym tylko ojciec Heleny — pan Henryk August. Mimo to i tak byli jedną z najbogatszych rodzin w guberni.

Ród Podolskich nie mógł się pochwalić imponującymi nazwiskami wśród gałęzi drzewa genealogicznego — zwyczajna zaściankowa szlachta. Ale dziad Jerzego i Jadwigi, Maurycy Podolski, miał łeb, jak to mówią, nie od parady, i

świetnie wyczuwszy koniunkturę, handlował czym mógł i czym się dało, a najwięcej gorzałką, dorabiając się znacznego majątku. Dzięki zebranemu kapitałowi wybudował gorzelnię, potem browar, na polach zamiast pszenicy sadził ziemniaki i siał jęczmień. Jego syn, Władysław Podolski, kontynuował z sukcesem dzieło ojca, dzięki czemu wzrosło w okolicy znaczenie rodziny. Ożeniony bogato z panną Pelagią Jurkiewiczówną doczekał się dwójki dzieci: Jerzego i Jadwigi.

Państwo Rudeccy ze Sustrowiczek przyjechali na bal z dwiema córkami — Cecylią i Malwiną, jak zwykle ubrani, mówiąc delikatnie, skromnie. Wielokrotnie zastanawiano się, czy Rudeccy są tak biedni, czy tak skąpi. Pan Tarczyński twierdził, że Józef Rudecki grosz kisi, bo nie ma sposobu, żeby tak wielki majątek nie przynosił dochodu. Coś w tym być musiało, bo obie panny, choć młodzietki, były już zaręczone: jedna ze szlachcicem z Wilna, druga z Kazimierzem Sasinem, jedynym spadkobiercą sporej rodowej fortuny.

Był również pan Witold Kuźmian, bogaty, bezdzietny i chociaż jeszcze w kwiecie wieku, już wdowiec, który wiele lat temu kupił w niedalekim sąsiedztwie majątek i przezwął go od swojego nazwiska „Kuźmą”.

— Na szczęście już sobie poszedł, to bardzo nieciekawa osoba — z ulgą zauważyła Helena.

— A ta dama to kto? — Jana Leonowicza zaintrygowała zmęczona życiem kobieta otoczona wianuszkami dzieci w różnym wieku.

— Wdowa Roztocka — bez namysłu odparła Helena.

Pan Ignacy Roztocki spłodził siedmioro dzieci, po czym zmarł nagle, zostawiając rodzinę niemal w całkowitej nędzy. Dlatego też pan Tarczyński najstarszej córce pani Eugenii Roztockiej Klarze, po starej przyjaźni opłacił naukę na pensji, jeśli więc będzie miała szczęście, zostanie guwernantką.

— Och, może trafi do jakiegoś majątku, gdzie pozna młodego, pięknego i bogatego szlachcica. Na pewno połączy ich wielka miłość. I on ją poślubi... Takie rzeczy przecież się zdarzają — rozmarzona mówiła panna Helena.

Tak, ale tylko w kiepskich powieściach — pomyślał Leonowicz i w duchu zaśmiał się z naiwności panienki.

— Pan nawet nie wie, jak ja jej zazdroszczę! Będzie zakochana, będzie z ukochanym spacerować po ogrodzie albo — lepiej jeszcze — będą potajemnie się spotykać w altanie — Helena westchnęła, jakby romantyczny los Klary Roztockiej był już przypieczętowany. — A tymczasem ja będę miała dużo szczęścia, jeśli mnie wydadzą za Jurka Podolskiego. Dobrą partią jest jeszcze pan Kuźmian, ale on jest okropnie brzydki!

Helena chciała opowiedzieć o pani Ziębickiej, która jest największą plotkarą w okolicy i wszyscy się boją, aby nie wzięła ich na języki, o panu Eustachym Wolskim, ten bywa w towarzystwie tylko dlatego, że nie przepuści żadnej okazji, żeby się porządnie najeść, ale orkiestra przestała grać, co Jan przyjął z ulgą. Ukłonił się i odprowadził Helenę do siostry. I choć wspomniała, że nie jest jeszcze zmęczona, zignorował aluzję.

Zapytał Hanię o zdrowie, o pobyt w Szwajcarii, potem grzecznie panny przeprosił, bo chciałby znaleźć pana Tarczyńskiego, żeby się dowiedzieć, w jakim stanie jest bryczka.

— Ja pana zaprowadzę — zaproponowała Helena, ale Hania złapała siostrę za rękę i poprosiła tonem nieznoszącym sprzeciwu, żeby z nią posiedziała, dopóki nie wróci mama. Helena wydeła usta, pokazując, że bardzo jest obrażona na cały świat, a na Hanię najbardziej.

— Helenko, co ty wyprawiasz? — zganiła siostrę starsza panna Tarczyńska, gdy zostały same. — Nie wypada młodej panie uganiać się za mężczyzną.

— Kiedy on taki ładny!

— Ładny czy nie, ale tobie nie wolno tak się zachowywać. Poza tym jesteś dziedziczką, a on doktorem, co zarabia na życie leczeniem brudnych chłopów.

— Mnie to nie przeszkadza, zwłaszcza że on szlachcic.

— Ojcu będzie przeszkadzało.

— Phi! — Helena wzruszyła ramionami. — Kogo miałoby to obchodzić, jeśli będziemy się kochali...

— Ciebie powinno — Hania mówiła już łagodnie. —

Jeśli nie będziesz przestrzegała zasad, trafisz na języki. Wtedy ojciec wreszcie zrozumie, że nie jesteś już dzieckiem. Znajdzie ci odpowiedniego kandydata i raz-dwa wyda za mąż.

— Nie pójdę!

— Któż będzie pytał cię o zdanie?

Nagle do Heleny dotarło, że wyjście za mąż z miłości może być trudniejsze, niż początkowo się zdawało. Zakochać się w doktorze — bardzo łatwo. Rozkochać go w sobie, trochę trudniej, da jednak się zrobić, trzeba tylko wzrok spuszczać, rzęsami trzepotać i wzdychać melancholijnie. Konieczne są tajne schadzki, na które czasami można nie przyjść. Wtedy sercem ukochanego szarpać będzie rozterka. I jak mucha, co wpadła w pajęczę sidła, im bardziej próbuje odzyskać wolność, tym bardziej w nich się płącze, tak samo doktor, miotany sprzecznymi uczuciami, goręcej kochać będzie. Potem wystarczy ojcu do nóg paść i błagać, aby Jana do rodziny przyjął. Pewnie najpierw się nie zgodzi, zły będzie, ale da się ubłagać. Tyle razy powtarzał przecież, że szczęście dzieci jest dla niego najważniejsze. Kiedy uzyskają błogosławieństwo ojca, pójdą do matki. Nie wcześniej. Pani Tarczyńska, praktyczna i zimna, Helenę spośród swoich dzieci lubi najmniej, co nierzadko okazywała, ciągle najmłodszej córce zwracając uwagę. Te pretensje, reprimendy i ciągle porównywania z Hanią były nie do zniesienia. Na szczęście do ślubu już niedaleko. Gdy Helena zostanie panią doktorową, wszyscy zobaczą, na co ją stać.

Och, jakie to szczęście, że ten młody doktor się zjawił, bo już na tej wsi umrzeć można było z nudów... — Helena dalej snułaby marzenia, lecz z zamyślenia wyrwał ją częsty gość we dworze, Jerzy Podolski — może nieszczególnie ładny, ale miły i wesoły, niewiele młodszy od brata panien Tarczyńskich, Henia. Hania przepadała za jego towarzystwem, Helena do niedawna również darzyła Jurka sympatią; kiedyś niechcący podsłuchiwała rozmowę rodziców, którzy właśnie planowali ich rodzinę węzłem małżeńskim związać z rodziną Podolskich, i od tamtej pory bardzo się pilnowała, żeby chłopakowi nie okazać przychylności.

— Zatańczysz, Haniu?

— Dziękuję, Jurku, ale mi nie wolno — Hanna skromnie opuściła oczy.

Kawaler Podolski nie usłuchał. Za rękę dziewczynę przyciągnął do siebie.

— Odrobina tańca żadnej pannie nie zaszkodziła. Zresztą wcale nie musisz tańczyć. Na rękach uniosę cię nad ziemią.

Hania się zaczerwieniła, ale nie opierała, i już po chwili głośno śmiała się z żartów Jerzego. Ten ich śmiech, nie wiadomo dlaczego, w sercu Heleny wywołał delikatne ukłucie. Zazdrość?

Jurek wprowadził Hanię między tańczących, mocno przycisnął do siebie i oboje zawirowali w walcu. Policzki dziewczyny zarumieniły się, co dodało jej jeszcze uroku.

— Pobyt za granicą posłużył ci. Wypiękniałaś.

— Co też mówisz, Jurku — powiedziała łagodnie, choć z nutką nagany w głosie.

— Prawdę. Nie można najserdeczniejszej przyjaciółce powiedzieć komplementu?

— Ale wiesz przecież...

Jurek poważnie skinął głową. Wiedział.

Zatoczyli jeszcze dwa kręgi, gdy Hania dała znak, że jest zmęczona. Odprowadził ją do ławki. Dziewczyna w obszernej sukni zajęła całą jej długość, więc młodzieniec przysiadł obok na trawie.

— Niedługo przed waszym powrotem zajechał do nas twój ojciec z Heniem — referował Jurek przyciszonym głosem. — Chcieli pomówić z tatkiem i zamknęli się w gabinecie. Myślałem najpierw, że rozmowa dotyczy interesów, wiesz, tego tartaku, co to nasze rodziny do spółki miały stawiąć, ale zaraz zdałem sobie sprawę, że i mnie by wtedy zaprosili do rozmowy. — Hania skinieniem głowy przyznała mu rację. — To znaczyło, że jakieś plany matrymonialne czynili — kontynuował Podolski. — Miałem rację, bo gdy tylko odjechali, ojciec wezwał mnie do gabinetu i zaczął wypytywać, jakie jest moje zdanie o Heniu i czy mi wiadomo, żeby Jadwinia coś o nim mówiła.

— Co ty na to? — Opowieść Podolskiego wyraźnie podekscytowała Hanię.

— Że wy dla mnie jesteście jak rodzeństwo. I dla Jadwisi również. Że oboje mamy o Henryku bardzo dobre zdanie. Jako o przyjacielu, oczywiście. A czy Jadwiga coś do niego czuje, to nie wiem, ją trzeba zapytać.

— Dawno już nad nami wisiał ten mariaż — powiedziała Hanna. — I szczęśliwie się złożyło, że Jadwinię z Heniem swatają, a nie ciebie ze mną — roześmiała się.

— Albo mnie z Heleną... — zażartował Jurek, ale Hania posłała mu karcące spojrzenie. — No co? — obruszył się chłopak. — Ja Lence nie odmawiam ani urody, ani rozumu, choć z niej jeszcze trzpiot i straszna gaduła. Dobrze wiesz, że moje serce do kogoś innego należy.

Hania pogładziła Jurka po policzku.

— Powiedz jej, zanim ktoś inny skradnie serce tej dziewczynie.

— To nie takie proste — zasmucił się chłopak.

— Będę się modliła, żeby wszystko szczęśliwie się ułożyło — żarliwie zapewniła przyjaciółka.

Pani Ludwika Tarczyńska przypatrywała się z daleka tej, w jej mniemaniu, czulej scenie między młodymi; Jurek od dziecka był bliski jej córce. Wróciła wspomnieniami do ich dzieciństwa: młody Podolski troszczył się o Hanię bardziej niż rodzony brat. Okrywał ją kocem, gdy było chłodno, podsuwał herbatę albo mleko. W pogodne dni Henio, Helena i Jadwisia ganiali po lesie niczym dzikusy, on zaś znajdował czas, żeby Hanię poczytać, zabawić rozmową. Ostatniego lata, gdy spacerowali po parku, niespodziewanie wiatr się zerwał i przygnał deszczową chmurę. Niewiele myśląc, Jurek wziął Hanię na ręce i biegiem ruszył do pałacu. Ulewa była ogromna, lecz na Hanię nie spadła ani kropla. Podolski uratował ją przed przeziębieniem, może nawet przed zapaleniem płuc. Tak, byłby z Jurka idealny mąż dla Hanny. Ale czy ona podołałaby małżeńskim obowiązkom? — Ludwika przychyliłaby Hani, najukochańszemu dziecku, nieba.

Kiedy wiele lat temu jako młoda mężatka przybyła po raz pierwszy do majątku Tarczyńskich, zadziwił ją świat cichy, dziki i tak piękny zarazem. Lubiła to miejsce, chociaż brakowało towarzystwa. Wśród miejscowych szlachcianek nie znalazła przyjaciółek, mąż zaś albo zajmował się sprawami majątku, albo polował i nie było go w domu od rana do późnej nocy.

Pani Ludwika nie zawiodła pokładanych w niej nadziei i w niecały rok po ślubie dała mężowi ślicznego i zdrowego syna. Dziedzic otrzymał na pierwsze imię Henryk, tak u Tarczyńskich od pokoleń chrzczono pierworodnego, na drugie zaś Gustaw, po dziadku, hrabim Bertlu. Po nim też odziedziczył, podobnie jak matka, urodę. Z charakteru był jednak nieodrodnym Tarczyńskim, który świata poza lasem i końmi nie widzi.

Ledwie ustała wojenna zawierucha, na świat przysła Hania. Młoda matka nie posiadała się ze szczęścia, bo odtąd miała mieć wyteśknioną przyjaciółkę i towarzyszkę. Radość trwała jednak krótko. Córeczka, nie skończywszy pół roku, zachorowała na zapalenie płuc. Cudem wyrwano małeństwo z objęć śmierci! Pani Ludwika do dziś wyrzucała sobie, że nie powinna córki zostawiać z niańką. Głupia dziewczucha, otworzyła okna i przeciąg zrobił swoje. I cóż, że na dworze było gorąco? Zimne powietrze musiało owiać dziecko. Od tamtej pory Ludwika całą energię skoncentrowała na córeczce. Ale im bardziej się troszczyła, im bardziej uważała, tym Hania bardziej słabła i częściej chorowała.

Inaczej było z o trzy lata młodszą Heleną. Matka, wciąż pochłonięta delikatną i wrażliwą Hanią, powierzyła opiekę najmłodszego dziecka najpierw piastunce, potem guwernantce. Brak matczynej troski wydawał się wcale nie szkodzić dziewczynce, bo nie tłumiono w niej dziecięcej ciekawości świata. Pełno jej było w ogrodzie, chętnie z ojcem doglądała pracujących w polu chłopów, wolne chwile spędzała w parku albo stajniach — od najmłodszych lat wyją-

kowo ciągnęło ją do koni. Ojciec wcześniej zauważył talent córki do jeździectwa i nim skończyła cztery lata, już mu towarzyszyła w przejażdżkach, dosiadając karego kucyka. Teraz w całej guberni, ba, może i na całych Kresach, nie było panny, która jeździłaby konno równie dobrze jak Helena Tarczyńska. Również niejeden mężczyzna mógłby jej pozazdrościć umiejętności i talentu. Tak, to niewątpliwie z tego powodu Helenka stała się oczkiem w głowie ojca. Oprócz jazdy konnej nauczył córkę rachunkowości i wprowadził w arkana prowadzenia majątku. Opowiadał także historię rodziny i kraju, aby ukochana córeczka była dumna z tego, że jest panną Tarczyńską i Polką.

Dopiero niedawno w tę komitywę wtrąciła się matka. Uznała bowiem, że towarzystwo ojca i brata jest złe dla dorastającej panny i nakazała więcej czasu spędzać z guwernantką. Ale miało to skutek odwrotny od zamierzonego. Miss Flora zamiast wyjawiać dziewczynie zawilosci języka francuskiego, uczyć gry na fortepianie, dobrych manier i przygotowywać do czekających obowiązków żony i matki, dzieliła się z podopieczną ukochanymi lekturami. Rozpaliła młodą główkę marzeniami o wielkiej miłości, za którą sama tęskniła. Zdarzyło się miss Florze, kiedy była młoda i nic nie zapowiadało, że zostanie guwernantką, przeżyć wielką namiętność — wprawdzie trwała krótko i skończyła się nie najlepiej, ale cóż z tego? I tak było warto.

* * *

Miss Flora miała na przyjęciu dotrzymywać towarzystwa panienkom, ale zlekceważyła obowiązki przyzwoitki i zadumana spacerowała między gośćmi, aż zauważyła rozmawiającego z panią Ludwiką doktora. Zaintrygowana obcym mężczyzną, postanowiła o niego zapytać. Okazja rychło się nadarzyła.

— Dokąd idziesz, mon chéri? — zaczęła przechodzącą obok Helenę. — Czy panienka dotrzymałaby mi towarzystwa?

— Chciałam porozmawiać z Jadwigą... No, ale mogę...

— Młoda Tarczyńska nie miała wielkiej ochoty na spacer z guwernantką, nie potrafiła jednak odmówić.

Miss Flora, szczupła i wysoka, majestatycznie sunęła parkową aleją, energicznie się wachlując. Dopiero po kilku nastu krokach odezwała się z udawaną obojętnością:

— Między gośćmi mignęła nieznajoma twarz... Znasz?

— To doktor Jan Leonowicz — Helena od razu domyśliła się, o kogo pyta guwernantka, i natychmiast zasypała ją informacjami.

— Doktor, powiadasz... Doktor? — Miss Flora, dowiedziawszy się tego, czego chciała, przystanęła, a po chwili ze zmarszczonym czołem i sztucznym uśmiechem powiedziała do Heleny: — Dziecko, nie trać ze mną czasu, przecież to bal dla ciebie, idź do przyjaciółki.

Nawet nie spojrzała w stronę oddalającej się panny Tarczyńskiej. Pochłonięta była czymś innym. W głowie miss Flory wirowały myśli, których większość przywdziewała ślubne sukienki.

* * *

Jadwiga Podolska, samotnie skryta w cieniu lipy, wydawała się intensywnie o czymś myśleć. Wyglądała ładniej niż zwykle: blond włosy jaśniały, niebieskie oczy błyszczały, mleczna cera tryaskała zdrowiem. Wydoroślała i przestała przypominać tłustego aniołka z malowidła w kościele. Helena dostrzegła iskry w oczach Jadwigi i pomyślała, że to złość.

— Tańczyłaś z Heniem — ostrożnie zaczęła, a na dźwięk tych słów panna Podolska oblała się rumieńcem. — Powiedział ci coś niemiłego? Widziałam, jak się zmieszałaś.

Jadwiga spojrzała zdziwiona na Helenę.

— Aleś ty dziecko jeszcze, Helu — zaśmiała się panna Podolska, niewiele starsza od Heleny. Ta w jej głosie wyczuła nutę świadcząca o tym, że Jadwiga uważa się za dojrzałą już kobietę, która wszystko wie o świecie. — Oj, Helenko, Helenko... — Podolska odwróciła się na pięcie, zadarła dumnie gło-

wę i skierowała swe kroki w stronę bawiącego się towarzystwa.

O co jej chodzi? — zapytała samą siebie Helena oszłomiona zachowaniem Jadwigi. Nie rozumiała, skąd wzięły się najpierw śmiech podszyty szyderstwem, a później wyniosła mina. — Coś złego się stało?

* * *

Jan dowiedział się od pana domu, że jego bryczka jest już sprowadzona do dworu, konie napojone i nakarmione i jeśli doktor ma pilne obowiązki, można zaprzęgać. Jeżeli zaś żaden pacjent nie czeka, będzie miło, gdy pan Leonowicz zechce zostać na poczęstunek.

— Z wielką przyjemnością — na zaproszenia pana Tarczyńskiego odpowiedział Jan, którego nic nie ciągnęło do pustych ścian podnajmowanego od Alojzego Rudnickiego skromnego mieszkania nad apteką.

Ledwie Jan zgodził się zostać, a już służba na bacność przed prowadzącym do jadalni wejściem dawała do zrozumienia, że kolacja podana. Pani Ludwika również zapraszała gości do stołowego; ci nieśpiesznie opuszczali altany, wciąż pochłonięci — panowie — dyskusjami na temat aktualnej sytuacji politycznej i gospodarczej — damy zaś plotkowaniem i rozmowami o sprawach codziennych i przyziemnych.

Obok Jana, nie wiadomo skąd, pojawiła się Helena.

— Zaprowadzę pana, bo u nas można zabłądzić, a byłoby szkoda, gdyby pan się zgubił — zażartowała. — Zresztą pan tu poza mną nikogo nie zna. To pewnie niedługo się zmieni, ale mam nadzieję, że wśród nowych przyjaciół nie zapomni pan o starej przyjaciółce. — Jakby lekko zawstydzona zatrzepotała długimi rękami.

Ot, podłotek. — Jan roześmiał się w duchu. — Ledwo suknię do ziemi założy, a do flirtowania już się bierze. Żeby z tego jakiego kłopotu nie miał. Jej ojciec nie wygląda na takiego, co słucha wyjaśnień. Panna powie, że ją uwiodłem, a stary gotów mi łeb rozwalić.

Doktor chciałby usiąść przy stole z dala od Heleny, ale

jakież było jego zdziwienie, gdy się okazało, że ich miejsca wyznaczono obok. Niemniej dziwiła się z tego powodu pani Ludwika. Specjalnie znalazła chwilę, aby sprawdzić, czy stół dobrze nakryto, przy okazji położyć karteczkę z imieniem doktora obok nakrycia po swojej lewej stronie. Kto ją przełożył?

Podczas poczęstunku Helena nieustannie zabawiała Jana rozmową, rzucała powłóczyście spojrzenia, raz nawet, przypadkiem, trąciła go pod stołem w nogę. Gdyby wiedziała, jakie myśli wzbudzają te naiwne zaloty w Leonowiczu, natychmiast rozbiłaby mu na głowie wazę z bulionem. Nie miała jednak daru telepatii, więc pod koniec kolacji była już pewna nie tylko tego, że sama jest zakochana, ale że Jan odwzajemnia uczucie.

* * *

Przyjemny letni dzień chylił się ku zachodowi. Złocista kula słońca powoli tonęła w błękitnych, wartkich wodach rzeki. Niebo mieniło się złotem i czerwienią — kolory barwiły lasy i pola. Na wybrukowany podjazd przed pałacem Tarczyńskich podjechały pierwsze powozy i bryczki. W atmosferze serdeczności wymieniano pożegnania, dziękowano gospodarzom za urządzenie wspianego balu, czyniono plany następnych spotkań. Jan uściśnął dłoń panu Tarczyńskiemu i wyraził wdzięczność za pomoc, co gospodarz skwitował krótkim:

— Chrześcijański to obowiązek.

— Odwiedź nas niedługo, doktorze — poprosiła pani Ludwika, podając dłoń do ucałowania. Jan poczuł, że nieznacznie ścisnęła jego palce. Może tylko się zdawało? Za to był pewien, że panna Helena zegnała go tęsknym spojrzeniem.

Wiele myśli tej nocy krążyło pod dachem pałacu Tarczyńskich. Hania zastanawiała się, w jaki sposób może pomóc Jurkowi w znalezieniu ziemskiego szczęścia, którym ona gardziła. Henio rozmyślał, jak potoczy się jego życie, gdy poślubi Jadwinę. Na pewno jest jej miły, co dziś wyznała, ale czy mówiła tak tylko przez wzgląd na swojego ojca? Pan Tar-

czyński rachował w głowie, ile go bal kosztował i jak by można było sensowniej te pieniądze spożytkować. Trzy kobiety rozmyślały zaś o młodym i przystojnym doktorze: Helena, Ludwika i... Flora.

